

Legenda o narodzinach Pelplina

Bardzo dawno temu, gdy tutejsze ziemie prawie w całości pokrywała odwieczna puszcza, przybyło tu plemię wędrownych ludzi. Przyszli z daleka, podążając ścieżkami wydeptanymi przez dzikie zwierzęta. Byli już bardzo zmęczeni, gdy dotarli na dużą polanę tuż przy rzece, gdzie wódz zarządził odpoczynek przed dalszą wędrówką. Sklecono naprędce szałas z gałęzi, rozniecono ogień na środku polany, mężczyźni ruszyli na polowanie, a kobiety ze starszymi dziećmi nad rzekę na połów ryb. Zanim dzień się skończył, na ognisku piekły się kawałki dziczyzny i dorodne ryby, a w uplecionych koszach czekały na ucztę jagody, grzyby i orzechy zebrane w okolicy obozowiska. Był nawet miód w woskowych plastrach wydobyty z okolicznych dziupli przez zwinnych i odważnych wyrostków. Takiej uczytu plemię nie miało od dawna, więc starzec pełniący funkcję wróżbity i kapłana, zarządził obrzęd ku czci bóstw opiekuńczych plemienia, których figurki nosił zawsze ze sobą i którym składano ofiary na każdym postoju. Teraz też stały w pobliżu ogniska, a przed nimi leżały kawałki mięsa, ryb, owoce i orzechy. Jedna figurka, wyrzeźbiona z twardego, dębowego drewna była postacią mężczyzny o czterech twarzach, a druga, zrobiona z miękkiego drewna lipowego, miała jedną twarz i postać kobiety. Bożek był uosobieniem cech wymaganych do mężczyzny, który musiał być twardy, odporny, czujny i widzieć wszystko, co się dzieje za nim, przed nim i wokół niego. Bogini symbolizowała cechy pożądane u kobiet, a więc czułość, uległość i zainteresowanie się tylko swoimi obowiązkami. Do tego wystarczy jej jedne oczy i jedna twarz. Plemię czciło nie tylko figurki, czciło też wszelkie dęby i lipy, jakie spotkało na trasach swoich wędrówek, to były święte drzewa symbole żywotnych sił męskich i żeńskich, tkwiących w przyrodzie.

Następnego dnia znowu zarządzono łowy, aby zgromadzić zapasy na drogę. Zbliżała się jesień, trzeba było się spieszyć, aby przed zimą znaleźć odpowiednie miejsce na przetrwanie srogich, zimowych miesięcy.

Wieczorem okazało się, że łowy były nadzwyczaj obfite. Na polanę zniesiono dziki, sarny, jelenie i zające, usypano górę złowionych ryb, w koszach znowu były grzyby, leśne owoce, orzechy i miód. Starszyzna zrobiła naradę i postanowiła nie iść dalej. Tu plemię założy zimowe obozowisko, skoro w okolicy jest tyle zwierzyny, ryb, wodnego ptactwa leśnego runa, a także traw o jadalnych nasionach, czyli dzikiego zboża. Z tej decyzji najbardziej ucieszyły się kobiety i dzieci, gdyż to one najdotkliwiej odczuwały trud koczowniczego życia. Pozostało tylko sprawdzić, czy w pobliżu nie ma siedzib innych plemion, które mogłyby im zagrażać napadami i porywaniem dzieci, grabieniem zapasów, niszczeniem obozowiska. Wobec tego rano ruszyli na zwiady najsprytniejsi wojownicy, aby rozeznać teren. Rozeszli się na wszystkie strony podzieleni na grupy. Nie trwało długo, jak jedna z grup wróciła biegiem z ważną wiadomością, którą przekazała wodzowi

i kapłanowi. Krzycząc i gestykulując opowiadali, że znaleźli świętą górę. Musiało to być ważne, bo wódz z kapłanem natychmiast nakazali ludziom zabrać dary ofiarne i udać się za nimi. W obozowisku zostały tylko najmniejsze dzieci i starcy, reszta poszła za przewodnikami. Szli przez puszcze, omijając zwarte i kłujące zarośla jeżyn, wykroty powalonych przez burze drzewa, zapadliskach po jamach zwierząt i trzęsawiskach, aż dotarli na skraj lasu. Przed nimi otworzyła się trawiasta przestrzeń, ze sporym wzgórzem pośrodku. Ludzie wydali okrzyk zdumienia i zachwytu, niektórzy padli na twarz, inni na kolana. Oto na szczycie pagórka ujrzeli dwa wielkie, majestatyczne drzewa. Obok siebie rosły dąb i lipa. Oblane blaskiem porannego słońca migotały i lśniły złoto na tle pogodnego, błękitnego nieba. Wszyscy z nabożną czcią patrzyli na ten niezmierny widok. Dwa święte, kultowe drzewa obok siebie, to był znak. Tak stwierdził kapłan, i inni się z nim zgodzili. To tu, a nie gdzie indziej, plemię powinno założyć zimowisko. Do rzeki po wodę i ryby będzie niedaleko, zwierzyny i owocujących roślin wszędzie jest pełno, a bliskość bóstw opiekuńczych może się przydać.

Jak postanowiono, tak zrobiono. W kilka dni wokół wzgórza postawiono nowe szałas z żerdzi, gałęzi, trzciny i mchu, wykopano jamy na zapasy żywności, przeniesiono broń, narzędzia i sprzęt. Żadnych obcych w okolicy nie wytropiono, więc ludzie czuli się bezpiecznie. Pod dębem i lipą ułożono z kamieni ołtarze ofiarne, cały szczyt otoczono kamiennym kręgiem, który mógł przekraczać tylko kapłan i jego pomocnicy. Gdy wszystko było gotowe na ołtarzach ułożono drewno, zioła, mięso i owoce, a gdy zapalono pod nimi ogień, kapłan osypał ogniska pokruszonym bursztynem, który zbierano w czasie wędrówek i używano do leczenia, wróżb i świętych obrzędów. Gdy buchnęły płomienie i ogarnęły złożone dary, kapłan podnosił ręce i zaczął nucić monotonną pieśń, którą odjęła reszta ludzi. W pieśni powtarzały się dwa słowa: Pol i Plin. To były imiona świętych drzew, imiona zamieszkujących je bogów. Pol – to był dąb Plin – to była lipa. Gdy kadzidlany dym ogarnął święte drzewa, a potem ogarnęła całe wzgórze, zgromadzeni ludzie wpadli w ekstazę i zaczęli obrzędowy taniec, coraz głośniejszymi okrzykami: Pol! Plin! Pol! Plin!

Przez lata osada się rozrosła, bo plemię osiadło tu na zawsze, gdyż okolica była przyjazna, dostatnia w zioła owoce i zwierzynę. Później w pobliżu dotarli inni ludzie i też założyli osady, a jeszcze później przyszedł czas, gdy zaczęto ziemię dzielić, sprzedawać, lub dawać. Trzeba było sporządzić mapy i dokumenty, każdą ziemię i osadę trzeba było jakoś nazwać, więc osadę przy wzgórzu nazwano po prostu „Polplin”, tak też zapisano w pierwszych dokumentach. Potem jakiś nieuważny skryba, pisząc nowy dokument, zrobił błąd i napisał „Pelplin” i tak zostało do dzisiaj.

Danuta Krystyna Sikorska